Rok I. Tarnów, Wrzesień 1919 Numer 4.

CZUWAJ

CZASOPISMO TARNOWSKIEJ MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
TARNÓW
MAŁA STRUSINA 2
CENA EGZEMPL. 1 K.

TATRY.

Błogosławione bądźcie Tatry —
błogosławione...
Przez te ponure rozszalałe wiatry
szarpiące waszą koronę,
przez te śniegowe zadymy i grady,
co się na żleby i upłazy walą,
przez te huczące białe wodospady,
co się we słońcu płomieniami palą,
przez łachy śniegów, opary i lody,
przez szklanych jezior fioletowe wody,
przez te krzesanic igły zamyślone —
— bądźcie błogosławione!...

...Otwieram ku wam ramiona o Tatry —
serdeczne, miłujące...
i dłonie kładę czujne
na tętna skalic i serca bijące
i lasów zboża bujne...
— i chłonę wzrokiem zaprószonym łzami
tę czarną, dziką, kamienną pętlicę,
co wzięła niebo we wirchów nożyce
i horyzonty groźną szczęką plami...

Miłuję ja was, o potężne góry —
przed majestatem waszym gnę się cały...
. . . .
...i drżącą duszę składam wam u szczytów,
gdzie hula zamieć, krą bijąc o skały
na orlich perciach i kościach granitów,
— gdzie piorun batem po krzemieniu śmiga
i białą pręgę wypala, jak znamię,
a świat kamienny od huku się wzdryga
i setne echa po urwiskach łamie...

...Widzę to cudne i słoneczne lato
kładące blaski na Liptowskie bory,
gdy się doliny pysznią jasną szatą
i leją szkarłat czerwone wieczory...
Śpiące po szczytach jeziora samotne
jak kadzielnice w pióra mgieł się stroją,
a pod chmurami jeno orły lotne
trzepocą skrzydłem i rosą się poją. —

— W wieczornej zorzy prostopadłe ściany,
jak dyamentami nabijane gmachy,
stroszą ku niebu jak krwawe szatany
rogi swych cyplów i potworne gmachy...

Widzę zimowe, straszne gołoledzie
i śnieżycami zawalone szlaki, —
— po których we dnie włóczą się niedźwiedzie,
a nocą strzygi albo wilkołaki —
i skalne żebra, zawrotne poręcze,
zmurszałe kloce, gzymsy, balustrady,
w mgławicach śniegów Keżmarski klin blady,
co w lustrach lodów odbija swe tęcze...
Skostniałe szczyty i smocze urwiska
lodowców dyadem dźwigają na czołach
i śnieg z baszt stromych wybucha i tryska,
zmrożone stawy druzgocąc na dołach...
A kiedy zgaśnie pożoga zachodu
i rzęsa mroków opadnie na żleby,
piętrzą się dziko czarne szczęki lodu,
zadęte turnie i skalne koleby...
. . . .
...A dusza ludzka wędruje po szczytach
senna, leniwa w bolesnym podziwie,
— siada ospale na zimnych granitach
i wodzi okiem po olbrzymiej grzywie
turń osędziałych i po hardych złomach —
łkaniem zachwytu zanosi się cała,
zdrętwiałe głazy całuje nieśmiała
i rozkochana w błyskaniach i gromach,
w hurkocie lawin zlatujących w ciemność...
idzie w tę groźną otchlani tajemność,
na osmalone kominy i rynny,
na zgiętych grzbietów kamień niegościnny —
na szczerbach dumnie opiera swe pięście
...i to jej szczęście!! —

...Kłęby mgieł siwych od przepaści płyną
i na przełęczach huśtają swe ciała...
we mgle się pławią szczyty... ona śmiała
pnie się na granie podniebną krainą,
gdzie wieczny Garłuch i gdzie Krywań stary
podstawił niebu granitowe bary.

...I na wrzecionach turnic mgła się przędzie...
— Siwa mgła wszędzie...

O cudny świecie, o świecie kamienny
zmrożony klątwą, nieruchomo senny...
o świecie Ganków podniebnych i zrębów,
świecie pazurów skalnych, harnych zębów
szczerzących gwiazdom lodowe krawędzie —
— cudnyś jest wszędzie...

O ty przełęczy prażona wichurą!...
...patrzę w głąb straszną z twej wargi olbrzymiej —
patrzę w potworną głąb, co mgłami dymi,
a lęk mi lica zalewa purpurą...
widzę straszliwą, krzesaną ścienicę,
na łeb lecącą w upiorną bezdenność,
gdzie cisza drzemie i groza i senność
i nie dochodzą gromów łyskawice...

O ty przełęczy złota w morzu słońca! —
...widzę stąd ziemię od końca do końca,
widzę huczące bory, het, tam... na dnie,
gdzie długo leci kamień, gdy upadnie —
widzę lecące obłąkanym ruchem
białe i szare widziadła obłoków,
na tle skał czarnych te rózgi potoków,
po głazach srebrnym dzwoniące obuchem...
— widzę: Siklawa smaga skalne bryły
i bryzga wokół rozpyloną tęczą —
sokole turnie zębatą obręczą
orają niebo, jak sople lodowe,
w piętra się dolin nędzne szatry wpiły,
skąd juhas owce na hale wypędza...
— racice kozic ponad naszą głowę
gwiżdżą po grani śniadej... obłok płowy
przefrunął górą...: płynie mglista przędza...

Płyną mgły, płyną... O Tatry!...
O wy zaklęte, cudne Tatry —
bądźcie błogosławione...

Jerzy Braun.

W TATRACH.

Zwolna zapadała noc. Szary, smutny mrok rozsnuwał się wolno między skałami i turniami olbrzymów tatrzańskich. Gdzieniegdzie jeszcze pod szczytem czerwieniła się łuna zachodu, skrząc się migotliwie na różowem tle granitów. W powietrzu był dziwny spokój przedwieczoru... Zamarła w swym nieustannym kołysaniu się od wiatru kosodrzewina, ucichła muzyka Tatr i tylko w dole huczał potok jakoś dziwnie grobowo. Boleść i smutek czaiły się w powietrzu, a zarazem groza jakaś ukryta była w tej ciszy.

Ciemność zwiększała się niepowstrzymanie, a równocześnie po turniach zagwizdały pierwsze podmuchy wiatru. W zamkniętej dolinie pod Wołoszynem spoczywała przy ognisku gromadka harcerzy, których angielskie mundury i szerokoskrzydłe kapelusze dziwnie odbijały się od otaczaiącego ich tła. Siedzieli jacyś smutni, zadumani, wsłuchując się w szum wiatru i szmer potoka. Znać było, że ta przygniatająca cisza wieczoru i na ich usposobienie wpłynęła, i że zapomnieli na chwilę o przykazaniu harcerskiem, które głosi, iż harcerz powinien być zawsze pogodny i wesoły.

Ale Boże drogi! jak tu być wesołym, kiedy wkoło smutek, który bezwiednie wkradł się do serca każdego z nich. Słodki był on! Rozkosz niósł jakąś ze sobą, ale zarazem zamykał każdego w sobie i tylko dla siebie każdy myślał. A myśleli o tych dolinach, nad którymi także teraz wieczór panuje, ale jakże inny! Taki słodki, upajający, niosący z sobą zapachy rozkwitłych kwiatów i balsamiczną woń borów... Myśleli o domach, które porzucili, idąc na wycieczkę, o drogich ich sercu osobach i coraz tęskniej robiło się im w duszy. I nie jednego dreszcz przeszedł, gdy wpadł mu do ucha świst wiatru, niejeden wzdrygnął się, widząc szarpiące się rozpaczliwie w ciemnościach płaty kosodrzewiny.

Ognisko trzaskało wesoło, rzucając blask na siedzących młodzieńców. Byli to chłopcy przeważnie między 17-tym a 11-tym rokiem życia, rośli, wytrzymali, o ogorzałych obliczach, na których widne były ślady dalekich wycieczek. Obuwie ich wskazywało, że niewielką mieli teraz za sobą drogę, a zarazem podkucie tegoż naprowadzało na myśl, że nieprędko myślą skończyć tę wycieczkę. Nigdzie nie znać było zmęczenia, na wszystkich jednak twarzach odbijało się pewne przygnębienie. Opodal stały dwa namioty, starannie zbudowane i okopane na wypadek deszczu.

„Holla, cóż to tak smutno?“ — ozwał się wreszcie jeden z nich. — „Aż mi dziw, że moja zazwyczaj iak gwarna drużyna, milczy teraz jak zaklęta“.

„Nic dziwnego Stefku“ — brzmiały słowa odpowiedzi. — „Wszak to nasza pierwsza noc wśród tego zamarłego świata górskiego. Pierwsza...:“

„No to cóż z tego?“ — rzekł znów Stefek — „Panowie bracia, uszy do góry, precz wszelkie smutki i tęsknoty. Jesteśmy harcerzami zawsze gotowymi do czynu a nie marzącemi babami! Rozpoczniemy gawędę, to może się szanowne towarzystwo rozrusza“.

„O to, to,“ — ozwały się głosy — „Gawęda, gawęda!“

Ciągnęła wszystkich ta gawęda pod niebem, na którym rozrzucone były miliardy gwiazd, tu wśród skał, przy migocącem krwawo świetle ogniska!

„Gawęda, gawęda!“ — wołano.

„Chcecie gawędy? Ależ i owszem. — Precz z tym smutkiem i przygnębieniem. Z pogodną myślą zasiądźmy przy ognisku i gwarzmy wesoło. Baczność!

Z. P.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ORJENTOWANIE.

„Najtrudniejszem oryentowaniem się, jest zoryentować się . . . w gawędach o oryentowaniu“.

Łatwiej bowiem o wiele jest zoryentować się w terenie z pomocą mapy. Najprostszym sposobem byłoby zoryentować się czy to przy pomocy sytuacyi (pokryciu terenu), czy to według form terenowych w górach. Jednak, nawet wytrawny katograf może się, w trudniejszych zwłaszcza miejscach, pomylić. Są też inne, daleko łatwiejsze, a pewniejsze metody służące do tego samego celu.

Jedna z nich — mojem zdaniem — najlepsza, to t. zw. weinanie w tył. Dwa są jego rodzaje: jeden, gdy znamy kilka widocznych punktów w okolicy, a nie znamy (na mapie) miejsca, gdzie się znajdujemy, lub też naodwrót, gdy znamy własne stanowisko, a chcemy poznać ważniejsze punkty w okolicy.

W pierwszym wypadku wybieramy w okolicy 1—2 wybitnych punktów, znanych nam na mapie i widocznych w terenie (np. kościół, fabryka, szczyt góry itp.) i zoryentowawszy mapę (najlepiej na stoliku kartograficznym, dla uzyskania możliwie wielkiej dokładności), celujemy przy pomocy celownika, a w braku tego linijki i t. p. przez dany punkt na mapie do odpowiedniego mu punktu w terenie, poczem rysujemy kreskę wzdłuż celownika. Na niej się znajdujemy. Chodzi teraz jeszcze o wyszukanie dokładnie punktu, w którym stoimy. — W tym celu postępujemy tak samo z drugim, dowolnym punktem na mapie i odpowiadającym mu w terenie. — Miejsce przecięcia się obu linij jest naszem stanowiskiem, na mapie, które właśnie mieliśmy wyszukać.

Dla większej dokładności można wziąć jeszcze punkt trzeci, a wtedy zawsze prawie otrzymamy t. zw. trójkąt błędu, w środku którego znajduje się nasze stanowisko.

Zadanie drugie rozwiązujemy w ten sposób, że zoryentowawszy poprzednio mapę, celujemy z naszego stanowiska na mapie do szukanych punktów w terenie; na mapie lężeć one będą na linii wzdłuż celownika poprowadzonej. Rozpoznanie ich nie przedstawia już trudności, nawet, gdyby w terenic, na tej właśnie linii byłoby ich więcej podobnych; porównywujemy tylko odległości, lub poznajemy je po otoczeniu.

Drugi sposób — to oryentowanie się zapomocą t. zw. linii homologicznych, podobny zresztą do pierwszego i z nim też może być skombinowany.

Wyszukać trzeba w terenie jakąś prostą linię, czy to istniejącą rzeczywiście (droga, przesiek, kraj lasu itp.) lub też w myśli tylko z naszego stanowiska (w terenie) do jakiegoś, dowolnie obranego punktu przeprowadzoną. I tu również znajduje się punkt szukany na przecięciu dwu takich, przez nasze stanowisko w terenie przechodzących linii.

Niesłychanie prostym i dogodnym instrumentem do tego celu służącym jest t. zw. busola Bezarda.

HP.

HARCERZ W SZKOLE.

Harcerstwo powstało w Anglii. Gdy je przeszczepiono do Polski zauważono, że by spełniało swe zadania trzeba poczynić w niem pewne zmiany. Poczynano od zmian małych, a gdy mimo wszystko harcerstwo nie zaaklimatyzowało się zupełnie na ziemiach polskich, robiono zmiany i większe. I mimo wszystko jesteśmy jeszcze ciągle w trakcie przeszczepiania i prób zaaklimatyzowania zupełnego idei angielskiej na niwie ojczystej[1]).

A jedną z głównych przyczyn jest ta, że harcerstwo stwarzano dla młodzieży angielskiej, aby nauczyć ją pracować więcej i ustawicznie, a nas Polaków trzeba dopiero nauczyć pracować wogóle. Dlatego na początku roku szkolnego powiem Wam, jak według mnie wyglądać powinna praca polskiego harcerza w szkole.

Pierwszym obowiązkiem harcerza jest uczyć się pilnie i wytrwale. I każdy harcerz musi zrozumieć, że na pierwszem miejscu ma stać nauka, na drugiem gry i zabawy skautowe. Najpierw naucz się dobrze swych lekcyi, a potem dopiero idź na pogadankę, czy ćwiczenie.

Na wszystko jednak czas się znajdzie; trzeba tylko odpowiednio go sobie rozłożyć. ułożywszy z góry przypuszczalny plan dnia, a nie wyczekiwać z fatalizmem ...godnym dzikiego Araba, kolejnego biegu wypadków.

A dalej powinniśmy nauczyć się — uczyć. Trzeba zdać sobie sprawę z tego, że nauka, to nie pokuta, ale zaszczytne powołanie człowieka. Jak należy się uczyć, powie Wam o tem Wasz nauczyciel.

Że można się uczyć z przyjemnością, świadczy to choćby, że przecież czytanie książek nikogo nie męczy, przeciwnie, zabawia. A czemże innem jest nauka, jak nie uważnem czytaniem książek?

Szkoła tedy, to dla harcerza najlepsze pole do popisu. Tam może on wykazać, jakie zalety ma harcerstwo, tam swoim przykładem może zachęcić tylu kolegów do służby dla Boga i Ojczyzny, pozyskać wielu starszych dla harcerstwa.

A więc raźnie i ochoczo do pracy!

Co za radość dla narodu, harcerstwa, rodziców, gdyby profesorzy mogli powiedzieć: „Najlepiej uczą się harcerze i mogą wszystkim służyć za wzór pod względem moralnym“. Powiedz Druhu, czy nie milszą Ci będzie ta pochwała społeczeństwa, czy nie będziesz z niej bardziej dumny, niż np. z robienia w przeciągu pół minuty kilku węzłów pociemku? A czy Ojczyźnie nie przyjdzie więcej z Twoich postępów w nauce, z twojego zamiłowania do pracy, z punktualnego spełniania obowiązków, z poszanowania ogólnego dobra, z tego koleżeństwa, co obejmie nie tylko harcerzy, ale i wszystkich kolegów, niż ...z świetnego produkowania się semaforem?!

Jerzy Warchałowski, Jasło.

---

[1]) P. artykuł Dha A. C. „O unarodowienie skautostwa“ w nrze 19.—24. t. VI. „Skauta“. (Przyp. Red.).

RYCZĄCY BAWÓŁ.

(Ciąg dalszy).

— — — — — — — — — — — — —

— Złodzieju sławy mojej!

— Psie lękliwy!

Zachwiał się na siodle pyszny Komanec pod ciężarem walącego się nań ciała. Zarżał przeciągle gniady rumak, stanął dęba. Sunęły krzemienne iskry z pod rozszalałych kopyt.

A przeciwnicy tarzali się już w wężowych splotach po kamieniskach, dysząc ciężko w uniesieniu walki. Migały barwne naszycia i rzemienne taśmy, drapieżne garście dobierały się do wrażych gardzieli, prężyły się stalowe mięśnie w bojowym wysiłku...

Odskoczyły od siebie zwarte ciała... Płomienne źrenice przeszyły się nienawistnie...

Tomahawk gwizdnął przeraźliwie w ręku mściciela...

Jęk... Chrapliwa wściekłość zwycięzcy... Wali się Komancz bezwładny na granity... Krew bluzga potokiem na omszałe głazy i głogowe krzaki... Krew ciepła, krew rumiana... Skoczył Ryczący Bawół i stopą bezlitosną zgniótł piersi martwego wroga. Dzika radość chwyciła go za włosy, netchnienie zwycięstwa zagrało w pierwotnej, indyjskiej duszy: „O wielki Manitu, o wielki!! —

— „Oto leży u moich stóp. Oto krew splamiła skałę, a duch zwyciężonego rozpacznie kołata do bram Wiecznych Ostępów. A dajże mu, Wielki Manitu, życie wieczne — niechże hula na mustangu po niebieskich łąkach... Niech opowiada duchom zmarłych wojowników chwałę Ryczącego Bawołu...

O chwało! O zwycięstwo!

O radości spracowanych mięśni!

O sławo!!" — modlił się Ryczący Bawół.

Ale nie zatańczy już nad trupem. Pieśń wojenną, pieśń tryumfu zdusić trzeba, choć wydziera się gwałtem z drgających piersi. Horda Komanczów pnie się chyżo na zbocze przełęczy. Zgrzytają kopyta...

— — — — — — — — — — — — —

Ryczący Bawół zabrał skalp Wodza.

Zabrał pióra, wywleczone z czarnogranatowych kędziorów.

Zabrał woreczek z lekami.

Skoczył na konia. Targnął żelazną dłonią rzemienne lejce i terlice. Koń zawrócił i poszedł na grzbiet przełęczy; tutaj powiał chłodny wicher, pan szczytów i wierzchołów górskich. W dole za jeźdcem wrzask posępny odbijał się tysiącznem echem po dziurach skalnych i rozpadlinach.

Ryczący Bawół nie mógł się wahać.

Krzepką prawicą ujął lejce tuż przy końskiej grzywia, wydał zachęcający okrzyk i począł zjeżdżać w dół po drugiej stronie przełęczy. — A była to iście piekieioa jazda. Koń zsuwał się na łeb na szyję, prał kopytami po kamieniach, krzesał iskry, a kurzawa piachu buchała mu z pod nóg. Ześlizgiwali się tak na dół, oboje w jednakowem natężeniu instyktu i muskułów, jeździec i koń — a z nimi sypała się lawina żwiru i strąconych kamieni. Zdawało się, potknął się i runął w dół w straszliwych kozłach, łamiąc kości. Ale rumak Standinga, był to czart — mustang, wspaniałe bydlę, gibki jak wąż, a mądry, jak gazella. Sto razy groziło niebezpieczeństwo życia i sto razy pewna noga ogiera, uratowała siebie i człowieka. Księżyc wychynął się z za chmur i rzucił olbrzymi krąg blasku na ziemię. Jeździec wydał okrzyk radości. Zbocze kończyło się. Był już na dolinie. Zaśmiał się i pognał preryą w kierunku czarnego lasu majaczejącego na horyzoncie. Słyszał w górze za sobą sapanie koni i dudnienie ścigającego hufca, ale nie bał się już nikogo. Noc pozwoli mu ujść czujnym oczom wroga i zaszyć się w najdzikszą gęstwinę.

Dopadł ściany boru i przedzierając się przez bujne krze, zwalone pnie i stosy zrudziałego igliwia trafił na potężny wykrot, w który wleciał wraz z koniem zaplątawszy się w koronę obalonego drzewa. Podniósłszy się skrył konia pod wystającym skarpem, wyjął skałtowy pistolet z za uasa i czekał... Ale ścigający go Komancze przejechali obok niego i znikli w czeluściach dziewiczego boru. Śmiał się bardzo Ryczący Bawół ze swoich czerwonych braci, którym łaskawy Manitu oślepił szparkie źrenice i zaćmił myśl;wski instynkt. Śmiał się bardzo... a potem siadł na zmurszałym pniu martwej jodły, przytulił głowę do końskiego brzucha i czekał...

Czekał do rana.

...Brzask cichy, nieśmiały począł rozsuwać mroki i ujawnieć kształty pni i konarów. Ponury, jednostajny szum wędrował gdzieś górnemi piętrami iglastych wierzchołków drzew. Powiew poranku przenikał chłodem i trząsł człowiekiem skulonym od przykrego zimna. Gdzieś od szczytów i wiatrowisk na wierzchach gór i przełęczy bił ten wicher i trzaskał w gałęziach sosen. Gięły się i kłaniały stuletnie chojary, skrzypiąc w potwornych zawiasach i przegubach. Z szelestem odrywały się od gałęzi napęczniałe szyszki i stukały po konarach, spadając na ziemię. Ruda wiewiórka milczkiem smyrgła z pod pnia i poszła w górne regiony... Mgła poczęła się spinać po garbatych cielskach sosnowych kloców i pełgać po korzeniach.

Ryczący bawół wsiadł na koń i pojechał...

Ale był czujny jak żóraw i to uratowało go od śmierci. Bo oto zrzedniała, otwałra się puszcza, a między drzewami zaśniło ogromne w dal idące jezioro. — Zielona jego szyba dymiła mgłami. Siwe mgły kłębiły się wszędzie, a w nich ujrzał Indyanin nad brzegiem jeziora nieruchome, jakby we śnie pogrążone, konne sylwetki Komanczów, stojące na czatach. Wzrok każdego utkwiony w mleczne morze oparów, głowa wyciągnięta, jak u drapieżnego ptaka, a ciężka rusznica na kolanie oparta. Komancze stali, jak odlewy z bronzu, odwróceni tyłem od naszego wojownika.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROMUALD KAWALEC.

CHŁOPCY Z „DZIKIEJ OSADY“.

Powieść.

I.

Na podwórzu kamienicy jednej z dalszych dzielnic miasta bawili się kilkunastoletni chłopcy w „chowanego“, a gdy im się to znudziło, zebrali się w gromadkę i naradzali nad wyszukaniem jakiejś lepszej zabawy.

Wtem na podwórze wbiegł jeszcze jeden chłopiec z dużym łukiem w ręce.

Towarzysze spojrzeli na niego zdziwieni, a on nie mówiąc nic wypuścił wysoko w górę strzałę, poczem rozejrzał się naokoło z tryumfem.

Otoczono go. Posypały się pytania i wszyscy chłopcy zapragnęli naraz posiadać także łuki. W tym celu wyprawiono się nad rzekę.

Był to jeden z początkowych dni wiosny i chłopcy po raz pierwszy wychodzili poza miasto. Gdy pozostawili już poza sobą ostatnie domy, wionęło ku nim z nad pól i łąk przeczyste, wiosenne powietrze, a dusze ogarnęło wielkie rozradowanie.

Nie rozumieli oni jeszcze dobrze cudu odradzającej się przyrody i w swej świadomości nie zdawali sobie z niego sprawy, ale odczuwali go z siłą właściwą młodemu wiekowi.

Wzmogła się w nich energia, tłumiona przez tyle miesięcy zimowych i dali jej natychmiast upust w szalonym biegu, aż do zupełnego zmęczenia.

Na pobladłe twarze wystąpiły silne rumieńce, oczy nabrały nowego blasku i śledziły z zajęciem wszelkie objawy budzącego się życia.

Czynili głośne uwagi nad każdym przelatującym ptakiem, ale słowa ich nie tchnęły bynajmniej żadną nutą serdeczności do tych pierwszych zwiastunów wiosny. Przeciwnie; już z góry cieszyli się tą myślą, że gdy zrobią sobie łuki, będą mogli strzelać do nich. Nikt jeszcze nie dał im sposobności do poznania przyrody, to też nie czuli do niej żadnej miłości, na zrozumienie zaś jej byli jeszcze za młodzi.

Łuki i spory zasób i strzał był już dawno gotowy ale chłopcom nie spieszyło się do domu. Z podwieczorku postanowili zrezygnować, o nauce starali się zapomnieć i przesiedzieli nad brzegiem rzeki aż do późnego wieczora.

Wracali uzbrojeni od stóp do głów, w łuki, dzidy, z kołczanami na plecach i z tarczami w rękach. Za kapelusze pozatykali znalezione pióra ptasie, poprzybierali sobie różne przydomki, wybrali dowódcę i już w niczem nie różnili się od dzikich Indjan, którymi tak się zachwycali w powieściach.

Nim rozeszli się do domów, zebrał ich wokoło siebie na podwórzu wódz i oświadczył surowym głosem:

— Rozkazuję wam wszystkim dzielni wojownicy zjawić się tutaj jeszcze dzisiaj o godzinie dziewiątej wieczorem, albowiem udamy się do „dzikiej osady“, gdzie odbędziemy wielką naradę wojenną.

— Gdzie to jest? — zapytał chłopiec noszący przydomek „Czarnego bawoła“.

— Powściągnij swą ciekawość „Czarny Bawole“ bo to nie przystoi dzikiemu wojownikowi — odpowiedział dowódzca.

— Ależ to jest zapóżno — zaprotestował inny „Jeleni róg“ — mnie n. p. nie puszczą o tym czasie z domu.

— Kto ma babskie usposobienie, dlatego nie ma miejsca wśród nas — usłyszał w odpowiedzi.

— Bez sensu! — rzekł półgłosem do siebie.

— Jeszcze słowo, a będziesz usunięty z grona wojowników — zagroził dowódzca — a teraz wzniesiemy okrzyk wojenny i rozejdziemy się.

Chłopiec, którego towarzysze wybrali na swego przewodnika zabaw, zasługiwał na to o tyle, że górował nad innymi energią i pomysłowością, pozatem jednak cechowało go wiele wad. Z pomiędzy nich największą była zarozumiałość. Ojciec jego Bolesław Piwecki był właścicielem fabryki, rozrastającej się z dniem każdym coraz więcej, był też tak bezwzględnie oddany swym interesom, że nie dbał zupełnie o wychowanie syna, który robił to, co mu się podobało. Matka nie żyła od paru lat. W szkole był pierwszym uczniem tylko dzięki swej wygórowanej ambicyi, bo w rzeczywistości nie grzeszył żadną obowiązkowością i sumiennością. Pod względem wieku był najstarszym ze wszystkich, liczył bowiem trzynaście lat. Za przydomek przybrał sobie miano „Wielkiego wojownika“.

Gdy o naznaczonej godzinie zebrali się chłopcy, sprawdził czy kogo nie brakuje i nie mówiąc nic więcej, dał krótki rozkaz:

— Wojownicy, za mną marsz!

Prowadził, rozświetlając co pewien czas drogę latarką elektryczną, co nadawało mu w oczach chłopców wiele uroku. Cała ta wycieczka owiana duchem tajemniczości już od samego początku, zaciekawiła jeszcze więcej chłopców, gdy po wyjściu z miasta zagłębiono się w las.

Przewodnik, jak gdyby przeczuwając co się w duszach niektórych chłopców dzieje, dał naraz znak, by się zatrzymano i powiedział silnym, pewnym głosem:

— Nie bójcie się, bo nic was złego nie spotka! — przyczem powiódł swoim bystrym wzrokiem po wszystkich. Najdłużej patrzył w oczy „Jeleniego Rogu“, zauważył bowiem na jego twarzy ślady zalęknienia.

— Kto chce może się wrócić — dodał — potem będzie zapóźno! i spojrzał jeszcze raz przenikliwie na chłopca.

— Ten zmarszczył się lekko i nadrabiając miną zawołał buńczucznie:

— Chodźmy dalej, szkoda czasu! — w duszy jednak czuł wielkie zaniepokojenie graniczące z przestrachem.

On, który bał się dotychczas pozostać w ciemnym pokoju, miał iść teraz o tak późnej porze przez las... Żałował swego nierozważnego kroku, zły był na tych, którzy go wciągnęli w tę całą awanturę, ale wstyd go było cofać się. Tożby go dopiero wyśmiali... Postępował więc za innymi i tylko starał się iść ciągle w samym środku gromadki.

Posuwano się jeszcze kilkanaście minut wśród zupełnej ciemności, a wreszcie „Wielki Wojownik“ zaświecił latarkę i zatrzymał się. Dokoła niego skupili się wszyscy wojownicy.

— Jesteśmy już niedaleko celu — zaczął — nim jednak pójdziemy dalej, musicie złożyć uroczyste przyrzeczenie, że pod żadnym warunkiem nie zdradzicie miejsca, w którem znajduje się „dzika osada“. Kto nie czuje się na siłach dotrzymania tajemnicy, niech to zaraz oświadczy, bo gdyby jej nie dochował, spotkałaby go straszna zemsta „dzikich wojowników“.

Nastała chwila ciszy. Chłopcy spoglądali po sobie i milczeli.

— Co do niektórych z was — mówił dalej wódz — mam poważne wątpliwości i dlatego tym zawiążemy oczy. „Pawi Czub“ i „Jeleni Róg“ wystąpić!

Wystąpił tylko pierwszy, natomiast Jeleni Róg zawołał z oburzeniem:

— Niemasz prawa w ten sposób ze mną postępować, bo nie dałem nigdy powodu do niewiary.

— Będzie tak jak rozkazałem! — padła wyniosła odpowiedź

— Więc ja wracam do domu!

— Wracaj!

Chłopiec oglądnął się poza siebie, ale nie miał ochoty wracać sam o tym czasie. Nie miał pewności czy trafi, a zresztą był zaciekawiony bardzo tem, co miało nastąpić.

— Więc dobrze! — oświadczył.

Równocześnie jednak w duszy jego zrodziła się zawiść do kolegi, który korzystając ze swej przewagi, postępował tak niesprawiedliwie.

Każdy po kolei musiał powtórzyć głośno słowa:

— Daję uroczyste słowo honoru, że nikomu i pod żadnym warunkiem nie zdradzę tajemnicy „dzikiej osady“.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z NASZEJ PRZESZŁOŚCI.

Polska flota wojenna. Myśl utworzenia na Bałtyku królewskiej floty polskiej powziął pierwszy Zygmunt August; flota bowiem potrzebna mu była do walki z Kawalerami mieczowymi w Inflantach. Pierwsze wojenne okręty z flagą polską ukazały się w 1556 r. Przecinały one wszelkie dowozy, przedewszystkiem dowozy broni z Zachodu dla Kawalerów mieczowych i Moskwy. Przysporzyło to Polsce wiele kłopotu. Interwenjowała Angja i sprzymierzona z Polską Danja. Nie radzi byli też z floty polskiej Gdańszczanie, bo nie mogli teraz handlować spokojnie z wrogami Rzpltej. Z tych powodów król po skończonej wojnie żeglarzy rozpuścił. Od czasu Henryka Walezego umieszczano a *pocta conventa* warunek co do wystawienia i utrzymania przez króla floty na morzu Bałtyckiem. Zadość temu warunkowi uczynił Zygmunt III. w czasie wojny z Szwecją. W dn. 28. XI. 1627. stoczono walną bitwę morską, w której po szwedzkiej stronie brało udział 11, po polskiej 9 okrętów, a która zakończyła się zwycięstwem Polaków. Niedługo jednak potem połączone floty szwedzka i duńska zniosły zupełnie flotę polską. Potęgę morską Rzpltej stwotrzył król Władysław IV., który wzniósł nawet na półwyspie Heli 2 zamki, dla osłony okrętów. Naród zrozumiał też teraz, jak ogromne ponosił szkody skutkiem braku własnej floty na morzu i jak był wyzyskiwany przez Gdańsk, książąt pruskich oraz innych sąsiadów. Ze śmiercią jednak energicznego króla Władysława IV. wszystko runęło.

Na morzu Czarnem Polska floty wojennej nigdy nie miała.

Ordynacje. Prawo polskie nie dozwalało rozporządzać testamentem dobrami ziemskiemi, które po rodzicach szły w równy podział pomiędzy synów. Wobec tego niektórzy magnaci, chcąc zabezpieczyć świetność swych rodów na zawsze, wystarali się o prawomocne takie urządzenie sukcesyi na przyszłość, aby takowa nie mogła być dzielona, ani zbyta, ani obciążona długami. Urządzenie takie od łac. wyrazu *ordinatio* nazywano ordynacją, a wskazanego przez to prawo sukcesora ordynatem. Ponieważ prawo czyniło sukcesorem syna najstarszego — *maior-natu* nazywano więc także ordynację majoratem. Pierwszą zatwierdzoną przez króla (Stefana Batorego) ordynacją była ordynacja Radziwiłłów. Równocześnie pozwolenie na ufundowanie ordynacji uzyskał het. wiel. kor. Jan Zamojski. W r. 1609 Janusz ks. Ostrogski funduje ordynację *Ostrogską* z 24 miast i 593 wsi złożoną, z obowiązkiem utrzymania zamków i twierdz na jej obszarze położonych i dostarczenia na każdą potrzebę ojczyzny 300 jazdy i tyleż piechoty, który to obowiązek był później rzeczywiście wypełniany. Wogóle ordynacji utrzymujących wojsko na usługi Rzpltej było 5: Ostrogska, Zamojska, Słucka, Klecka i Ołycka. Żołnierze ordynaccy brali płacę od swych ordynatów, nie wchodząc w skład wojsk koronnych i litewskich. Nosili też oni własne odrębne mundury. Do naszych czasów rozmaite wioski w ordynacji Zamojskiej zachowały pewne stałe różnice w kroju i barwie swego ubioru a starsi chłopi tłómaczą, że ta różność pochodzi od różności ubioru dawnych wojsk ordynackich.

Gloger, Ecyklopedja Staropolska.

Z KRAJU, MIASTA I DZIELNICY.

Wakacye są ważnym okresem w życiu harcerza. Umysł nasz odpoczywa po całorocznej pracy, a wzmocnieni tak moralnie jak i fizycznie, z świeżym zapałem zabieramy się do pracy. Toteż i minione wakacye wyzyskali harcerze, o ile to tylko było w ich mocy.

Liczne trudności (przedewszystkiem stosunki aprowizacyjne!) przeszkodziły w urządzeniu znaczniejszej liczby kolonii. W Małopolsce zorganizowano ich zaledwie parę, znacznie mniej, niż w roku ubiegłym. I tak harcerze lwowscy spędzili miło czas na dwóch koloniach: w Budzowie koło Makowa i Szczyrzycu koło Dobrej. Wzięło w nich udział razem przeszło stu uczestników, przeważnie z pośród młodszych harcerzy, a pobyt ich na koloniach trwał około 7 tygodni. Bliskimi sąsiadami harcerzy lwowskich byli chłopcy z drużyny wielickiej, którzy urządzili obóz w Lipiu. W okołicy zaś Nowej Wsi w Beskidzie Sądeckim przebywali harcerze nowosądeccy. Dla harcerzy z Krakowa urządziła komenda okręgowa trzytygodniową kolonię w Kuźnicach pod Zakopanem.

Przebywając w tak bliskiem sąsiedztwie najpiękniejszych gór polskich, Tatr ukochanych, urządzali oni liczne bliższe i dalsze wycieczki.

W liczbie wielu tegorocznych wycieczek w Tatry znalazły się i wycieczki harcerzy tarnowskich. Wspaniałe wrażenia wyniesione z nich, odzwierciadlają się w umieszczonych na wstępie niniejszego numeru Czuwaja wierszu: „Tatry“ i rozpoczętym obrazku „W Tatrach“. Ten więc pierwszy powakacyjny numer naszego pisma Tatrom niejako poświęcamy.

Nie zapomnieliśmy i o uroczym zakątku Polski, Pieninach. Dnia 3 b. m. wyruszyło (korzystając z przedłużonych wakacyi) paru harcerzy z Tarnowa i jeden z Krakowa (Dh „Keshavrao S. Mankar“) przez Nowy Sącz do Rytra — koleją, skąd następnego dnia przez Prehybę do Szczawnicy. Tam od spotkanego przypadkowo przewodnika Madeji dowiedzieliśmy się o wycieczce harcerskiej z Jasła — w Pieniny i oglądaliśmy świeżo ottzymane przez niego fotografie. Przeszedłszy polską częścią Pienin (Sokolica, Orla perć pienińska), dostaliśmy się na Trzy korony, skąd po cudownym zachodzie słońca ruszyliśmy w dalszą drogę — do Czorsztyna. Ano, złapałci nas w drodze deszcz — gdzieżby się bez niego, starego i ...wiernego przyjaciela harcerza obeszło. I poprawił nam humory, „przyduszone“ nieco — zbyt ciężkimi plecakami. Z wesołym śpiewem na ustach „wkro-

czyliśmy" do Czorsztyna, skąd znów po nocy, przespanej u chłopa na sianie (we dworze odmówiono nam noclegu) ruszyliśmy dalej, przez Gorce z zasępionym Turbaczem do Rabki. Wieleśmy przygód mieli w tej drodze: a to kąpiel w Dunajcu, tuż pod nosem zdumionego tym zuchwałym krokiem czeskiego żołnierza — jako że to na granicy czeskiej (!) było — który nie wiedząc co robić... uciekł, obawiając się widać, byśmy nie chcieli przekroczyć granicy; to znów deszcz zmusił nas do przenocowania w szałasie na Obidowcu i wiele, wiele innych, smutnych i wesołych, ale więcej wesołych!

Tak to dziesięć dni trwała ta nasza wędrówka po kraju. Z Rabki, względnie z Osielca przez Babiogórskie pasmo z Policą na Babią górę i stamtąd na Pilsko (wspaniały wschód słonca!), Romankę i na Śląsk, na Baranią górę, do źródeł Wisły. Pogoda dopisała nam do końca, to też wycieczka udała się nam wyśmienicie. pozostawiając jak najmilsze wspomnienia. Wyzyskaliśmy też czas do ostatoiego dnia, niemal godziny, wróciliśmy bowiem do Tarnowa dopiero 14 b. m. wieczorem.

Dłuższe wycieczki tego rodzaju, dają harcerzowi prócz tych wszystkich niezliczonych a trwałych wrażeń, wiele korzyści natury poważniejszej. Na nich poznajemy ziemię rodzinną, poznajemy lud wszystkich okolic, przez które przechodzimy, jego mowę, strój, zwyczaje, przekonujemy się naocznie o stanie jego uświadomienia narodowego i społecznego. A pod tym względem wiele można zdziałać. Wycieczki takie są poglądową i najlepszą lekcyą geografii kraju rodzinnego, pozwalają poznać jego klimat, faunę i florę. Dają poznać jego historyę z zabytków.

Do wzięcia jednak udziału, a tembardziej do *poprowadzenia* tego rodzaju wycieczki, zwłaszcza jeśli ma ona być właśnie krajoznawczą, należy się odpowiednio przygotować. Dlatego też *już teraz*, z początkiem roku zwracam uwagę instruktorów, układających programy pracy na rok bieżący, aby nie zapomnieli w nich o sumiennem przygotowaniu się w ciągu tego roku do wycieczek, jakie przyszłych wakacyi urządzić zamierzają. Do sprawy tej jeszcze zresztą powrócimy.

Wycieczkę taką o charakterze czysto krajoznawczym odbyło w pierwszych dniach lipca 6 skautów krakowskich pod kierunkiem Dha prof. Węgrzynowicza, komendanta krak. drużyn harc. Wycieczka trwająca 1 tydzień obejmowała część woj. krakowskiego (Kraków, Wieliczka, Myślenice, Tymbark, Dobra) i średni bieg Dunajca.

— — — — — — — — — — — — —

— Chcąc nawiązać jak najbliższy kontakt z harcerzami całej Polski, proponujemy Redakcyom wszystkich pism harcerskich w Polsce **wymianę** numerów naszych pism, przyczem ofiarowujemy numery Czuwaja od 1-go począwszy.

Z tą samą prośbą zwracamy się do wszystkich innych pism młodzieży.

— W przyszłym numerze zamieścimy nadesłaną nam kronikę zwierzyniecką. czyli „menażerya harcerska".

OD ADMINISTRACJI.

Do końca b. r. wydawali będziemy nasze pismo jako miesięcznik. Prenumerata za cały rok bieżący, od Nru 1-go wynosi 8 K. Od września do końca roku (numera 4—7 włącznie) 5 K. z przesyłką pocztową. Cena numeru pojedynczego 1 K.

Adres Redakcji i Administracji: Tarnów, Mała Strusina 2. I. p., dla przesyłek pieniężnych: Juljusz Braun, adres jak wyżej.

Wydawca: Harcerska Komenda Dzielnicowa w Tarnowie

Z drukarni Józefa Pisza w Tarnowie, pod zarządem St. Starostki.